Nr. 20 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 16 października 1932** | **Rok 54**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochronne

obowiązujące na terenie Rzeczypospolitej z wyjątkiem województwa śląskiego

(Czas ochronny oznaczony jest ciemnemi polami)

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Łosie - byki [1])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Jelenie - byki, daniele - rogacze [2])	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		■	■
Sarny - kozły [2])	■	■	■	■	▌15						■	■
Zające - szaraki [2])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	▌20		
Zające - bielaki		15▌	■	■	■	■	■	■	■	■		
Niedźwiedzie [3])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15
Rysie [4])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15
Borsuki [5])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■		■
Wiewiórki [6])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Cietrzewie - kury w wojew.: Wil, Białost., Nowogr., Polesk., Woł.		■	■	■	■	■	■	▌15	15▌	■	■	■
Jarząbki, pardwy		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty [7])		■	■	■	■	■	■	■	■	■		
Kuropatwy w woj.. Wil., Białostoc., Nowogr., Polesk., Woł., Krak., Lwowsk., Stanisławowsk., Tarnopol. [7])	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Kuropatwy w województwach pozostałych [7])	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki . . . od przylotu			■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory [8])						■	▌15					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌15					
Dropie, dropie - kamionki (strepety), [9])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dzikie indyki - samce [10])					15▌	■	■	■	■	▌15		
Dzikie indyki - samice	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				

Zabrania się wogóle polować na: żubry, bobry, kozice, świstaki, na samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, na niedźwiedzice od niedźwiedziątek, na głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w Województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem na cietrzewie-kury. Minister Rolnictwa uprawniony jest zezwolić na polowanie na te zwierzęta z wyjątkiem żubra i bobra.

[1]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730.
[2]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[3]) Min. Roln. z dnia 11. V. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 51, poz. 423.
[4]) Min. Roln. z dnia 23. VI. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 60 poz. 487.
[5]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[6]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr 94, poz. 730.
[7]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[8]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[9]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730
[10]) Min. Roln. z dnia 26. VI. 1929 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 50, poz. 416.

Wszystkie terminy ochronne należy rozumieć włącznie

„SŁONKA"

KAZIMIERZA hr. WODZICKIEGO

Monografja, drukowana niegdyś w „Łowcu", nigdy dotąd nie wydana osobno, ukazała się obecnie w nakładzie M. T. Ł., jako ostatni, t. j. dziesiąty, z słynnych **„Zapisków ornitologicznych"**. — Do nabycia **w biurze M. T. Ł., Ossolińskich 11, III p.** po cenie tylko zł 2·50, z przesyłką poleconą zł 3·20 **póki zapas starczy.**

Wzywamy Członków M. T. Ł.
do uiszczenia
zaległych i bieżących wkładek!

Konto P. K. O. 145.839

LEGAWCE sześciotygodniowe, po nagrodzonych na wystawie rodzicach, do sprzedania. Redakcja „Łowca“, Lwów, Ossolińskich 11.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

JERZY POTOCKI

NA WOJNIE I NA ŁOWACH

Z PZEDMOWĄ WITOŁDA ZIEMBICKIEGO

WARSZAWA, 1932

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH JAKOTEŻ W BIURZE MAŁOPOLSK. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO LWÓW, UL. OSSOLIŃSKICH 11

CENA 5 ZŁ. Z DOLICZENIEM PORTA

KATALOG WYSTAWY POLSKIEJ KSIĄŻKI KYNOLOGICZNEJ

ułożył i wstępem opatrzył

WITOŁD ZIEMBICKI

Lwów 1932

Katalog ten, wydany ozdobnie, na pięknym papierze, a obejmujący 35 stronic i szereg ilustracyj, będzie pożądanym nabytkiem nawet dla tych osób, które nie oglądały wystawy. Zawiera on bowiem przystępne, a pouczające zestawienie piśmiennictwa o psie od najdawniejszych czasów i stanowi niejako przewodnik orjentacyjny dla poszukujących w tym dziale czyto podręczników, czy dzieł naukowych, czy wreszcie beletrystyki, tak dla starszych, jak dla dzieci.

Cena obecnie zniżona: 60 groszy

Do nabycia
w Biurze M. T. Ł. i w księgarni Gubrynowicza we Lwowie

Z OSTATNIEJ CHWILI

II Doroczny Pokaz Trofeów Łowieckich

odbędzie się w dniach od 3 do 20 listopada, b. r. staraniem Polskiego Związku Stow. Łow. w Warszawie.

Członkowie nasi chcący brać udział w tym pokazie zechcą się zgłaszać po formularze zgłoszeń do Biura M. T. Ł., pisemnie lub osobiście.

Upraszamy myśliwych małopolskich, którzy w czasie od 1 marca 1931 r., zdobyli wysokiej wartości trofea w postaci wieńców jeleni karpackich, rożków sarnich i innych, do obesłania niemi pokazu.

Red.

TREŚĆ NUMERU 20:

Nr. 20 We Lwowie, 16 października 1932 Rok 54



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ZYGMUNT GRONZIEWICZ

Ze Skolego

Dnia 1 września rano, oddaje mi żona doręczony właśnie list, ze wzmianką „list polecony ze Skolego".

Błyskawicznie chwytam go, wyczuwam w kopercie karton, znaną mi dobrze z poprzednich lat formę zaproszenia na rykowisko, — chwila trwogi, że może być wewnątrz przecież co innego, — zdeterminowane rozdarcie koperty i radosny krzyk, bo wnętrze zawiera właśnie zaproszenie P. br. Groedla na rykowisko.

Radość bezmierna, tem większa, że nieoczekiwana.

Już dnia następnego rano, jestem w centrali skolskiej, rezydencji baronów Groedlów w Demni.

W przepięknem położeniu, wśród ciemnych gór, nad perlącą się wstęgą Oporu, mile uderza oko pałac właścicieli, szereg wspaniałych i bardzo smacznych domów należących do administracji dóbr skolskich, olbrzymi w pełnym ruchu będący tartak, tłuczkarnia kamienia i inne pomocnicze urządzenia przemysłowe.

Dobra skolskie to potężny objekt, bo obejmujący 40.000 hektarów lasów, podzielonych na 8 leśnictw złączonych w jedno Nadleśnictwo.

Stanowisko nadleśniczego piastuje P. Józef Jureczek, wytrawny, wysokiej kultury łowieckiej myśliwy, który przy współudziale 8 leśniczych, szeregu podleśniczych i licznego sztabu gajowych, krzepką młodą dłonią włada umiejętnie tą wspaniałą o pięknej tradycji wysokogórską knieją, mając silne oparcie w bardzo troskliwie i racjonalnie dbającym o zwierzostan P. Ryszardzie br. Groedlu i generalnym dyrektorze P. Robosie.

Po obiedzie odjazd do leśnictwa Tuchla, gdzie na przeszło 6.000 hektarów lasu gospodarzy poważny myśliwy, P. Marcin Berwid, a stąd odmarsz z bardzo sympatycznym gajowym Kubieną i dwoma ludźmi do obsługi, Hryciem i Iwanem do przeznaczonego mi łowiska „Oriwny", na które składają się dwie góry Skubenica i Sałaszyszcze.

O godzinie 6-tej wieczorem jesteśmy na miejscu w kolibie.

Zdala od siedzib ludzkich, pod szczytem, wśród wysokich gór i dzikich borów, nie widząc nikogo prócz owych mi przydanych trzech ludzi, nie słysząc innych odgłosów jak te, które niczem nieskażona natura wydaje, nie otrzymując drogą korespondencji, dzienników, ni radja — żadnego kontaktu z brzydkim tam w dole światem, przeżyłem przy cudnej pogodzie pełnych dni 13, a czas ten zaliczam do chwil najmilej w życiu spędzonych.

W okresie tym odbyłem 23 podchodów, z których ranny trwał zawsze od 3—10, popołudniowy od 15—20.

Teren ciężki i trudny wymagał wysiłku niejednokrotnie bardzo forsownego; dawałem temu choć z trudem radę, gdyż w chwilach nawet zupełnego wyczerpania dodawała sił nadzieja upragnionego spotkania.

Św. Hubert kazał na łaskę swą czekać długo, złomek jedliny był bardzo oddalony, tem jednak milszy, że ciężko wypracowany.

A jak to było, opowiem.

Piękna, ciepła pogoda powodowała, że jelenie, jakkolwiek wcześnie, bo już 8 września poczęły ryczeć, ryczały bardzo słabo. Właściwe rykowisko rozpoczęło się na dobre dopiero 27 września.

Mimo tego miałem na strzał prócz pięciu drobniejszych jeleni, trzy dziesiątaki.

Jednego z dziesiątaków, godnego strzału, nie strzelałem tylko dlatego, że było to w pierwszym dniu podchodów.

Trzy, sądząc po głosie i zachowaniu się, grube byki, stały cel podchodów, nie dały się nawet dojrzeć.

Z innej zwierzyny, prócz dużej ilości jarząbków wspaniale idących na wabia, kuny, której ewolucje były z bardzo bliskiej odległości przedmiotem półgodzinnej obserwacji, miałem na dobry strzał pięknego odyńca i na strzał niepewny dużą lochę.

Dzików nie strzelałem z powodu spotkania z nimi w miejscu, gdzie zwykle ryczał dobry byk, o strzelaniu do jarząbków i kuny nie myślałem.

Doszedłszy dnia 29 września do smutnego przekonania, że z żadnym z trzech grubych byków, które tyle bezskutecznych podchodów kosztowały, nie zdołam się spotkać, postanowiłem, wracać dnia następnego rano.

Spakowawszy manatki i zadyrygowawszy je w dół, dnia 30 września o zwykłym czasie rano, ruszyliśmy na ostatni podchód, który w końcowem swem stadjum, miał nas doprowadzić na dół do leśnictwa w Tuchli.

Zaraz po wyjściu z koliby, począłem podchodzić doskonale ryczącego, sądząc z głosu, dobrego jelenia.

Po trzygodzinnym podchodzie przychodzę do strzału w bardzo niekorzystnych warunkach. Na metrowej szerokości luczce widzę w odległości 100 kroków tyłem do nas obróconego dobrego dziesiątaka. Jedynie ta okoliczność, że to ostatnia okazja strzału, skłania mię do pociągnięcia za cyngiel, mierząc w widoczną część karku.

Strzelam, — jeleń powolnym krokiem znika, rycząc dalej.

Czarna, bezgraniczna rozpacz!

Jedyną pociechą to pewnik, że kula nie musnęła go nawet, gdyż słyszymy go jeszcze przez kilkanaście minut jak rycząc, powoli oddala się.

W rozpaczliwym nastroju docieram przed południem do zarządu lasów w Tuchli.

Po wysłuchaniu sprawozdania z całego przebiegu wyprawy, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów ostatniego podchodu, proponuje mi wspaniałomyślnie P. Berwid podchód dziś po południu, ewentualnie także jutro rano, na Kiczerze, gdzie jest silny jeleń.

Pod wpływem tej, momentalnie z radością przyjętej propozycji, zmienia się krańcowo mój nastrój.

Wcześnie po południu ruszamy. Pod wieczór byk odzywa się, jednak z gęszczu na zrąb nie wychodzi.

Wracamy, by następnego ranka już o 2,30 raz jeszcze, ostatni, odbyć tę drogę.

O godzinie 5-tej jesteśmy na miejscu.

Na zrębie cisza i pusto.

Kubiena radzi iść natychmiast na drugi zrąb „Rosticzka“. Idziemy tam śpiesznie.

Na zrębie pasą się cztery łanie z cielęciem, ciągnąc powoli ku gęstwinie świerkowej na górze. — W dole, w znacznem oddaleniu, ciągnie za swym haremem byk.

Krótka decyzja: podejść przeciwległą zboczą kilkaset kroków, by znaleść się pod wiatr przy linji, przez którą przeciągać będą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa łanie z jeleniem.

Łatwa była decyzja, lecz jak trudne jej wykonanie.

Niezwykle mozolne przejście przez stromą, wykrotami, kamieniami i gałęziami zawaloną ścianę lasu, tem bardziej emocjonujące, że pytanie kto, my, czy łanie, swą drogę prędzej odrobimy, — wreszcie zmordowany do ostatnich granic staję na grzbiecie, by z radością stwierdzić, że ubiegliśmy łanie, które właśnie dochodzą do miejsca, w którem ze ścieżki weszliśmy w las.

Dalsza krytyczna chwila, czy łania przodownica, która stoi przed ścieżką, jaką przed kilkunastu minutami przeszliśmy i widoczne zdradza zaniepokojenie, nie skoczy w tył i nie da tem hasła do odwrotu.

Sytuacja wyjaśnia się względnie korzystnie, przodownica bowiem nie ważąc się na przejście ścieżki, ciągnie równolegle do niej jednak w górę, oddalając się od nas a za nią reszta łań.

Jeszcze kilka minut pełzania na czworakach i wyłania się byk, posuwający się chyżym krokiem za łaniami.

Przez szkła widzę dobrze rogi.

Gorące pragnienie, by jak najrychlej zwrócił się na połeć, powoli spełnia się, krzyż lunety leży nieźle, strzelam, jeleń stoi przebierając nogami, strzelam raz drugi, byk wali się, by więcej nie powstać.

Mimo, że przed chwilą nie mogłem już ruszać ni ręką ni nogą, sunę lekko z rozsadzającą piersi radością ku jeleniowi.

Bardzo dobry wieniec grubego dziesiątaka. Ogromna ulga i wielka, spokojna, jasna radość.

Tak tedy na 25 podchodzie dopiero dosięgła mię łaska Św. Huberta.

W dwie godziny byłem ze złomkiem i wieńcem w leśnictwie w Tuchli a na południe w Demni.

Tu dowiedziałem się o przebiegu rykowiska na całym terenie Skolego.

Wówczas padło 12 jeleni, a to:

Rewir Butywla: Wiktor br. Königswarter zabił bardzo dobrego czternastaka — najlepszy z ubitych w tym roku w Skolszczyźnie jeleni; — Józef Cieński z Czahrowa ośmnastaka.

Rewir Huta Korostowska: Schicht z Warszawy dwunastaka, Nayrowski z Wiednia dziesiątaka, Jerzy Komorowski z Warszawy dziesiątaka.

Rewir Hrebenów: br. Goldeg z Czechosłowacji dwunastaka i dziesiątaka, Michał br. Moysa-Rosochacki z Rudnik ośmnastaka, Hofman z Warszawy dwunastaka.

Rewir Korczyn-Kruszelnica: Heinrich z Berlina dwa dziesiątaki.

Rewir Tuchla: mój dziesiątak.

Nie zeszli dotąd, Stefan hr. Tyszkiewicz z Libohory, gdzie miał możność strzału do dwóch dobrych czternastaków, czeka jednak na spotkanie z bardzo grubym szesnastakiem, stale wekslującym między Libohorą a lasami państwowemi, Minister Jaroszyński z rewiru Rożanka, oraz Heinrich i br. Moysa-Rosochacki.

Największe nasilenie rykowiska przypada na dzień 30 września, w którym to dniu ryczało 199 jeleni, z tego w najlepszym rewirze Butiwla 56.

Te daty dają obraz wspaniałości kniei skolskiej, mimo, że z wiosną podniesiono 163 sztuk, przeważnie łań, padłych z wycieńczenia ostatniej ciężkiej zimy.

Zima ta odbiła się także na jakości rogów. — Kończąc moją mocno przedługą korespondencję, gratuluję szczerze zacnemu P. Groedlowi i jego personalowi tego istotnie pięknego stanu jeleni i składam jak najbardziej gorące podziękowanie, za przeżyte prawdziwie rozkoszne chwile.



TES.

Wielki kulon

Między lesistemi pagórkami a wielkiem jeziorem jest mszar. Dawniej, jak pamięć ludzka sięga, była to zatoka wielkiego jeziora. Jezioro opadło i gęsta roślinność wypełniła zatokę od zachodu i południa, czemu sprzyjały korzystne wiatry. Ląd się podniósł, mchy, trawy i wrzosy wkroczyły w ten obszar i dawna zatoka zmieniła się w mszar, gdzie kaczki dążą, by pod karłowate sosenki i świerki swe jaja składać. Tam mieszka również wielki kulon, jeden z najszlachetniejszych i najmądrzejszych ptaków północy.

Teraz nie wiele pozostało tam kulonów. Trzęsawisko pocięte jest rowami po wydobytym torfie, gdzie młode ptaki wpadają i wydobyć się nie mogą. Wiele ptaków, które się tam gnieździły, odeszło na zawsze.

Nie ma już siewki, która tak tęsknie śpiewała.

I dubelt się przeniósł.

Żórawie, które wiosną ponad góry lecą, kołują jeszcze nad mszarem, ale niechętnie tu zapadają. Ich zdaniem okolica ta już dla nich przepadła. Okrążywszy kilkakrotnie mszar, wydawszy okrzyki zdziwienia, ciągną na północ do tych dziwnych, cudownych krain, gdzie bagrownice i łopata nie mają wpływu na tworzenie się mszarów.

Tylko jeszcze kulon tu wytrzymuje. Jak jego braknie, nie będzie już mszaru.

W północno-wschodniej części leży jeszcze łopatą nietknięty obszar. Człowiek go nie rusza, bo jest tam trochę rozrzuconych sosen, o które dba. Chce je zatrzymać, by po wyrośnięciu ściąć. O kulona nie dba człowiek, tak jak o sosnę. On mimoto, upodobał sobie ten zakątek i tu się gnieździ. Gdy wiosenny mrok zapada i dobroczynnym cieniem szopy torfowe otula, ptak daje zdaleka znać o sobie, dziwnym a pięknym swym głosem.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Na mszarze

Była to wiosna. Głębokie śniegi, wyścielające dotąd grubą warstwą podłoże okolicznych borów, tajały z dniem każdym, ukazując dookoła pni drzewnych czarne krążki okrytej pleśnią ziemi. Mszar zatapiała spływająca z pagórków woda, rozlewająca się szeroko po dolinach. Jedynie wysokie, mchem okryte kępy, górując nad marszczącą się w podmuchach wiatru sfalowaną taflą, uśmiechały się czerwienią zeszłorocznych żórawin do gorącej pieszczoty słońca. Para żórawi przybyła już przed tygodniem i brodziła z rezygnacją w lodowatej wodzie, racząc się soczystemi jagodami i nawołując drżącym, metalicznym krzykiem. Stada przeelotnych kaczek zawisały niekiedy w chyżym locie nad mszarem, zniżały się, robiły okrążenia i odlatywały na pobliskie jezioro, skąd rozbrzmiewały ustawiczne ich pokwakiwania. — Mszar nie przedstawiał dla nich nic osobliwego.

Wieczorem lekki mróz ścinał wody cienką blaszką szklistego lodu, lecz w powietrzu czuć było wiosnę. — Czuć było, że te rozpaczliwe wysiłki zimy długo nie potrwają, że ustąpi ona, zwyciężona pochodem czarodziejki, budzącej świat z sennego, chorobliwego odrętwienia. Mówiły o tem jękliwe głosy żórawi, mówiło i groźne pohukiwanie puhacza, szukającego z wybranką swego serca jakiejś obszernej dziupli w wypróchniałych leśnych osikach.

Któregoś ranka mszar doczekał się nieznanych dotąd gości. Była to para dużych ptaków pstrych, szaro-rudych. Szybowały one niskim, przyziemnym lotem, zapadając na wystające z wody kępy i znowu się podrywały z wielkim hałasem, połyskując przy tem w słońcu bielą skrzydeł i takiemż obrzeżeniem ogonów. Latały w różnych kierunkach, wybierając, zda się, najdogodniejsze dla

Zaczyna się to niskim i krótkim tonem, jak gdyby kto na okarinie zagrał i zaraz przerwał. Następuje ton nieco wyższy i dłuższy. Gdy ten przebrzmi, następuje ton jeszcze wyższy, i zdaje się muzyk przerywa, by się we własny głos wsłuchiwać. Jakby mu się zdawało, że go ktoś słucha, więc bez próby nie chce grać w całej pełni, zanim swej sztuki nie jest pewien. Ale to nie jest powód. Chodzi tylko o to, że zmierzch dopiero zapada. Kulon chce swój flet wypróbować i nastroić.

I znowu słychać dźwięki coraz szybsze, głośniejsze. Przechodzą z mol w dur i już nie są płochliwe. Wznoszą się dumną potęgą, aż pod ścianę boru, skąd echem daleko płyną. Chwilami gdy pieśń dochodzi do najwyższego napięcia, zmienia się w tęskny, drżący ton, jak gdyby skarga biednego ptaka, że wkrótce może ojczyznę utraci.

Teraz zamilkł. Idzie ktoś w mroku przez trzęsawisko. To pewnie człowiek. Kulon schodzi z kępki, na której stał, podnosi piękną głowę i bada. Teraz już widzi, kto się zbliża. To jest ta stara zgarbiona baba, która chrust zbiera. Nie odważy się po to iść za dnia.

Kulon znowu wchodzi na swoją kępkę. Wiele wiosen już tu wracał i w tem samem miejscu gniazdo swe zakładał. Baba co roku przychodziła i zbierała chrust. On ją zna i jej drogi i wie że nie ma złych zamiarów wobec niego i jego gniazda. Już się babina postarzała, on jednak tego nie widzi, nie zdaje sobie sprawy, że czas mija. On z latami tylko wypiękniał, upierzenie barwniejsze i oko mądrzejsze. Wie, jaki będzie jego koniec, jak i kiedy jego życie zgaśnie. Wtedy, gdy nie utrzyma linji swego ciągnącego klucza, lub gdy starością zmorzony, nie pozna na czas niebezpieczeństwa.

Mszar jest krajem dziwów. Taki jest olbrzymi. Nawet oko ptaka go nie obejmie. Tyle jest tam spraw, które kulona nęcą, a których człowiek nie pojmuje. Są tam wyższe suche wzniesienia, gdzie tak dobrze gniazdo wybudować. I są wgłębienia, gdzie mech, napojony jak gąbka roi się od larw i ślimaków, które tylko oko kulona zdolne jest odkryć. Tyle tam jest traw, wrzosów i starych pokrzywionych karłowatych sosenek i świerków, w których tak dobrze kulon się kryje. Dla lisa mszar jest za równy. Wprawdzie ten spryciarz wie jak się we wrzosowiskach skradać, a rdzawy mech tak jest do jego futra podobny, ale nie było jeszcze wypadku, by nadszedł z lasu niezauważony przez kulona.

O to były ciężkie chwile. Lis wie, że w tym czasie ptaki na mszarze mają młode. Jest to okres, w którym stara kaczka swe młode prowadzi i wabi. Lis ten głos zna i wie, że stara prowadzi kaczęta do jeziora. Droga prowadzi przez brzeźniki i łąki. Lis idzie krajem lasu, by im drogę przeciąć. Ale jest nerwowy, stara kaczka nie nadchodzi tak szybko, jak by tego chciał. Dla młodych świeżo wyklutych kacząt mszar jest olbrzymią krainą, pełną stromych wzgórz i przepaści i dnia conajmniej trzeba by puszczę tą przebyć. Lis nie ma cierpliwości. Obawia się, czy będzie pierwszy na odpowiedniem miejscu. Może na to samo czyha inny lis. Ludzie, którzy nad mszarem mieszkają, mają koty. Lis podnosi się, nadsłuchuje i idzie w mszar, by tam młode napaść. Czołga się przez wrzosy jak wydra i dochodzi wreszcie tak blisko do kaczek, że słyszy ich popiskiwanie. Ale on nie wie nic o wielkim pstrokatym ptaku, który skrywszy swój długi, zakrzywiony dziób w pióra na grzbiecie, na pagórku czujnie stoi.

Kulon stoi tam z półprzymkniętem, swoim zwyczajem, okiem. On zna cały mszar. Każdą kępkę. Każdy krzak kwiecia, które kwitnie i przekwita. Widzi to codzień i każda najmniejsza zmiana budzi w nim niepokój i podejrzenie. Słyszał kaczki cały dzień, od chwili, gdy pierwsze młode z gniazda wyszło, aż do czasu, gdy cała czereda wyruszyła w stronę jeziora. Przechodziło to tak blisko jego gniazda, że musiał się udać do swej samiczki i uważać, by jej kaczka nie denerwowała. Samiczka ma jeszcze tylko kilka dni siedzenia, a potem młode się wy-

---

siebie miejsce wśród wzorzystych mchowych pagórków, aż wreszcie zadowolone widocznie z wyniku poszukiwań — osiedliły się na miękkim kobiercu jasnych torfowców, zrzadka porośniętych kępkami rośliny „bagna". Wszyscy dotychczasowi mieszkańcy mszaru przyglądali się przybyszom ciekawie. Obserwował ich także gajowy w czasie swych codziennych obchodów rewiru, zainteresował się nimi nawet sam właściciel majątku i przyprowadzony na mszar, z ukrycia śledził pardwy. Nie było w tem nic nadzwyczajnego; wszak ptaki te w okolicy były naprawdę rzadkością. To też cały dwór z niegasnącą ciekawością informował się u leśnika o życiu ptasiej pary, na zagubionym wśród borów mszarze.

Pardwy tymczasem, jak wszystko na wiosnę, uczuły w swych drobnych serduszkach, bijących głęboko w ptasiej piersi, przysłoniętej ciepłą warstwą pierza, uczucie dziwnie gorące i miłe, uczucie — które ludzie nazwali miłością. Pod jej przemożnym nakazem wybrały sobie wysoką kępę i na niej, w zagłębieniu, urządziły gniazdo, wysłane nieco suchą trawą i kilku miękkiemi piórkami. Ona zaczęła znosić jaja, które dumą napełniały serca małżonków, były bowiem naprawdę bardzo piękne, barwy kanarkowej, czarno marmurkowato upstrzone. On tymczasem, stojąc wyprostowany z opuszczonemi nieco skrzydłami i wachlarzowato rozłożonym ogonem — wydawał głośne, gardłowe, rytmicznie skandowane dźwięki, które były jego miłosną serenadą. Jaj z dniem każdym przybywało coraz więcej, aż liczba ich zatrzymała się wreszcie na dwunastu. — Natenczas dobra matka usiadła na nie, by ogrzewając je ciepłem swego ciała przez długie tygodnie, doczekać się z nich cudnych, ruchliwych piskląt, będących treścią jej życia. Głód skręcał jej wnętrzności, nogi drętwiały od niewygodnego siedzenia, piersi zaczerwieniły się i pierze zaczęło wypadać, lecz ona trwała na swem stanowisku, wiedziona instynktem zachowania gatunku, jednako potężnym

klują. Wiosna była ciepła i słoneczna. Żaden człowiek z psem nie był na mszarze. Stary miał spokój, gdy matka wysiadywała. Dopiero po wykluciu młodych i gdy młode przez kilka dni podrosną, pójdzie samiczka swojemi drogami, pozostawiając jemu całą troskę wychowania dzieci.

Nagle kulon widzi przesuwający się jakiś czerwono-brunatny kształt, nie mający z mszarem nic wspólnego. Cała wiosna minęła tak spokojnie, że mu się wierzyć nie chce, by mu coś groziło, — może się myli. Jednakże coś jest. Podnosi wysoko głowę, patrzy ostro, uważnie. Przecież to lis świeci swym rudym grzbietem między trawami.

Samica leży w kierunku drogi lisa. Niedaleko widać jej grzbiet ponad wrzosy. Kulon wie, że teraz może nastąpić tragedja. Cały ich skarb, to jest cztery ciemne jaja, które do kilku dni dadzą potomstwu życie, jest w niebezpieczeństwie. Wie, że samica musi cicho siedzieć, a on wysili wszystkie zmysły, użyje wszelkiego podstępu, żeby ją i jaja obronić. Chwilę stoi jeszcze spokojnie.

Czajka narobiłaby zaraz gwałtu. Kszyk straciłby głowę, uciekł na łeb na szyję i naprowadził lisa wprost na gniazdo. Kulon nie straci nigdy swego królewskiego spokoju. Potrafi wyjść z równowagi, gdy nieznośną wronę swemi twardemi skrzydłami łoi, da się zwieść na jesiennym przelocie, gdy go człowiek jego własnym głosem zwabi. Lecz w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa, z szlachetnej jego postawy bije roztropność i odwaga. Nagle zapada ze kępkę. Już poznał kierunek lisiej drogi, niestety wprost na gniazdo. Zwyczajnie porusza się kulon wolno i rozważnie. Podnosi wolno nogę i dokładnie patrzy, gdzie ją stawia. Teraz niema czasu na uwagę. Długie nogi poruszają się, jak szprychy w kole. Szyja wyciągnięta tak, że tylko oko ponad trawy obejmuje cały mszar.

Teraz szerokim łukiem zabiega. Lisa nie widzi, ale dobrze zna całą okolicę i nigdy nie myli się w ocenieniu odległości. Gdy dobiegł tam, gdzie chciał, staje w poprzek w miejscu, gdzie lis nadejść musi. Widzi jak nastraszony szmerem, bada i wietrzy z nastawionemi uszami i wzniesionym nosem.

Kaczka wabi swe młode całkiem blisko. Kulon ją słyszy i widzi jak się trawa rusza tam, gdzie jakieś małe biegnie. Bliskie to towarzystwo jest mu zupełnie obojętne. Gdyby lis na kaczęta się rzucił, by je pożreć, uderzyłby kulon na niego, ale nie z powodu kacząt, lecz ze względu na swoje potomstwo. Następnym razem może przyjść na nie ciężka godzina, gdy się lis raz znęci. — Własne jego gniazdo jest przez tę rudą bestję zagrożone i on musi je obronić.

Lis się poruszył i idzie naprzeciw niego. Podkrada się do kacząt, ale to kulona nie interesuje, natomiast wie, że jeżeli lis tylko trochę zboczy, może zwietrzyć jego samiczkę. Podnosi się tak wysoko, że z wszelką dokładnością widzi, w którą kotlinkę lis zapadł i biegnie wprost na niego.

To młody lisek. Stary byłby kaczki dopadł prędzej, bez wielkich ceregieli. Młody jest tchórzliwy i boi się wszystkiego, czego jeszcze nie zna. Gdy zobaczył nagle na tle nieba wielkiego, goniącego ptaka, przestraszył się i przycupnął we wrzosach jak zając. Ale to trwa moment, gdyż zaraz poznaje ptaka i czuje go. Zdaje mu się, że go ptak nie widział.

Lis zapomina o kaczkach. Kombinuje, że ptak musi być młody, gdyż gdyby umiał latać, toby uciekł a nie stał jak dureń. Lis się zbiera i skacze obok ptaka, zwracając w jego stronę otwarty pysk, by go w skoku pochwycić. Klapnął, chwytając jednak tylko powietrze. Teraz ptak leży pod kępą traw. Lis przekonany, że musiał go w skoku jakoś uszkodzić, rzuca się na tak pierwszorzędny łup, ale w tej chwili ptak jest już po drugiej stronie kępy i ciągnie za sobą skrzydła, jakby je miał połamane. Równocześnie srodze kuleje. Tylko oczy patrzą jasno, obliczając każdy ruch lisa.

---

u wszelkich istot żyjących. Kogut-pardwa nie odstępował jej ani na krok, czuwając ustawicznie nad bezpieczeństwem zaczątków przyszłej rodziny.

Aż kiedyś, szukając pożywienia, trafił na ostrówek obfitujący w smaczne, zeszłoroczne jagody. Raczył się niemi z łapczywością, gdyż w pobliżu gniazda nie znajdywał już tego przysmaku, a musiał poprzestać na gorszem pożywieniu w postaci nasion, młodej trawy i owadów. Teraz, zapomniawszy na chwilę o wszystkiem, połykał kraśne, nalane kwaśnym sokiem, żórawiny, a czynił to szybko i sprawnie. Zaspokoiwszy dokuczliwy głód, pomknął chyżo do gniazda. Już z dala zobaczył swoją kępę i do niej się skierował, lecz zdziwiła go niemile nieobecność małżonki. Parę silnych uderzeń skrzydłami i usiadł przy gnieździe. Niestety, nie było już w niem i pięknych jaj, tak przez niego kochanych. — W zagłębieniu leżało zaledwie parę szarych piór — piór jego żony; pozatem nic więcej.

Straszne podejrzenie zrodziło się w jego umyśle, niewysłowiony ból zatargał maleńkiem serduszkiem... — Opuścił nisko głowę, zwiesił skrzydła i trwał tak bez ruchu długo, beznadziejnie długo.

A nieco dalej, na leśnej polanie, trzech pastuchów wioskowych skubało uduszoną przez psa na gnieździe pardwę, podczas gdy czwarty rozniecał tymczasem ognisko i w międzyczasie głaskał rudego, „poczciwego" Łyska, zajętego lizaniem potłuczonych, zalęgniętych już jaj.

I na tych dwunastu krwawych skorupkach skończyły się rodzicielskie nadzieje ojca-pardwy, i plany hodowlane właściciela-myśliwego.



Lis z małej pochyłości rzuca się znów na ptaka, jak gdyby go chciał ciałem swem przygnieść. Kulon jest znowu trochę dalej. Rzuca się lis w prawo, to kulon jest z lewej strony, rzuci się na lewo, to kulon znowu z prawej się znajduje. Ciska się i rzuca, a tu dziwnym trafem ptak jest nagle za nim. Lis się zapala i gorączkuje. — O kaczętach dawno zapomniał. Źrenice ma rozszerzone, by w mroku lepiej każde poruszenie ptaka dojrzeć. — Wszystkie nerwy i mięśnie napięte. Nie zwraca już uwagi, co się dokoła dzieje, na to nie ma teraz czasu. Oczy jego zwrócone są jedynie na ptaka, który na pewne jest okaleczony i będzie musiał walki zaprzestać. Ma go ciągle w pobliżu i czuje zapach jego ciepłego ciała. Wiecznie niezaspokojony głód lisa i niepewne ruchy ptaka, mącą zmysły bestji. A dziwny ptak żadnego głosu nie wydaje.

Ruszają zająca, który na ich drodze żerował i obaj chwilę za nim patrzą. Gdy przeskakuje przez wysoką trawę, rysuje się ogromny na tle nieba.

Milczące łowy trwają dalej, z góry na dół, z dołu do góry, przez kępy traw i wrzosów dookoła karłowatych sosenek. Kulon kuleje, co parę kroków pada i znów się zrywa. Gdy gonitwa doszła w pobliże lasu, biegnie równiej i prędzej. Lis zostaje w tyle. Nie może pojąć, co się dzieje i wytęża wszelkie siły, by ptaka dopędzić. Ptak ciągnie jeszcze jedno skrzydło za sobą, ale już nie kuleje i nie pada. Wszystko dzieje się coraz szybciej. Kulon parę razy podrywa się jakby do lotu, wreszcie wzlatuje i leci krajem lasu, zanim lis pojąć może, co się właściwie stało. Ptak nie leci daleko w las z obawy przed jakąś zasadzką, nie dalej jak za pierwsze pnie pojedyńczych drzew. Stamtąd spogląda na strapionego lisa i wreszcie znika za kępą gęstych świerków.

Mykita o kaczętach zapomniał i głowi się, za czem on właściwie tyle świata zgonił. Daleko z mszaru nadpływa ostrzegawczy głos kulona. Lis nawet nie przypuszcza, że to jego niedoszła ofiara. Stoi chwilę, ciężko dysząc. Nagle wstrzymał oddech i nadsłuchuje. W krzakach szeleści leśna myszka, a on taki biedny głodny.

Gdy kulon szerokim łukiem obleciawszy mszar, usiadł na wysokiej kępie, w pobliżu gniazda, siedziała samiczka, jak przedtem, przytulnie wśród wrzosów. Nie potrzebowała jaj ziębić. Widać, jak lśniący jej grzbiet podnosi się i zniża rytmicznie w spokojnym oddechu.



RUDYARD KIPLING

Pieśń Młodego Myśliwca

(Z „Drugiej Księgi Dżungli")*

Przełożył Józef Birkenmajer

Nim wrzaśnie horda małp przebrzydła,
i nim paw Mor otrząśnie skrzydła,
nim Chil myszołów śmignie skrzydłem przez powietrzny szlach,
przez puszczę mknie niepostrzeżenie
cień jakiś nikły i westchnienie: —
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody, — och, to Strach!
— — — — — — — — — — — — — — — —

Cichuśko — hen — przez uroczyska
cień baczny, czujny się przeciska —
i szept się szerzy dziwny pośród kniej i wydm i łach — — —
I pot się perli na twej skroni,
bo szept ten goni wciąż i goni: —
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody, — och, to Strach!
— — — — — — — — — — — — — — — — —

Nim księżyc wzejdzie nad górami
i w srebrne smugi je poplami, —
gdy wszelki zwierz, skuliwszy ogon, drży w wilgotnych mgłach, —
tuż poza tobą, w nocnej ciszy,
czyjś oddech szemrze, parska, dyszy: —
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody, — och, to Strach!
— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Uklęknij żwawo! Łuk napinaj —
powietrze świstem strzał przecinaj —
i ostrą włócznię pogrąż w pustych, urągliwych krzach!
Lecz chęciom twym nie będzie zadość:
drżą dłonie, w licach widna bladość...
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody, — och, to Strach!
— — — — — — — — — — — — — — — — —

Gdy w kłębach kurzu grzmi huragan,
gdy bór się wali, wichrem smagan,
gdy burza tnie ulewą, rozmywając żwir i piach, —
nad ryk zawiei i nad gromy
głos jakiś huczy nieznajomy: —
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody, — och, to Strach!
— — — — — — — — — — — — — — — — —

Strumienie z brzegów wystąpiły,
toczą się z trzaskiem skalne bryły —
i każdą żyłkę liścia widać w błyskawicy skrach — —
Twój głos zamiera, dech się późni,
a serce wali, jak młot w kuźni:
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody!... Tak, to Strach!...

* Fragment ten z „Drugiej Księgi Dżungli" w przekładzie Józefa Birkenmajera, jeszcze nie wydanym w druku, publikujemy z upoważnienia tłumacza. Zob. „Notatki bibljograficzne" w poprzednim numerze „Łowca", z wiadomością o nowym przekładzie obu „Ksiąg Dżungli".

W. Z.

STANISŁAW CIEŃSKI

Sto dzików

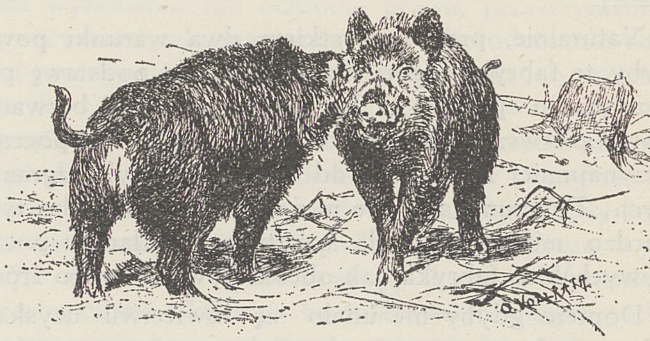
Sto dzików zabitych, to ważny okres w przeżyciach myśliwego. Dziesięć lat, względnie dziesięć zim minęło tych pięknych, śnieżnych zim południowo-wschodniej Polski, w czasie których z wielu bardzo spotkań z dzikami danem mi było sto dzików zabić.

Ileż to emocji przeżyłem, wiele obrazów stoi mi żywo w pamięci z tych pięknych polowań, wieleset dzików w czasie tego dziesięciolecia widziałem, czy to przesuwających się wśród gąszczów naddniestrzańskich ścianek, czy to wśród przezórek i wąskich linij świerczyn, osypanych grubą warstwą śniegu, lub też wreszcie idących z łomotem po zamarzniętych bagnach kresowych puszcz. I ta różnorodność kniei ze swoistemi warunkami myśliwskiemi, te odmienne wciąż obrazy spotkań z dzikami, to wszystko podsycało emocje myśliwskie i dodawało zawsze nowych wspomnień w spotkaniach z czarną zwierzyną.

Różne były te polowania! To samemu polując, puszczam tropowca do barłogu, a potem z nieopisaną emocją nadsłuchuję pierwszego odezwania się psa, by pobiegnąć ze ujadaniem. Wiele zazwyczaj czasu minie, gdy przy szczęśliwym dniu zbliży się do mnie głos naszczekującego psa i wreszcie w ośnieżonym gąszczu zobaczę zrazu czarną plamę stojącego odyńca i już bez ruchu oczekuję, kiedy to dzik wolno ruszy i da mi możność strzału, to znowu kiedy polowaliśmy we dwóch najczęściej z moim bratem. Puszczaliśmy wówczas psy w trop do barłogu, brat mój podchodził osaczonego przez psy pojedynka lub stadko dzików, a ja stawałem na dalszych przesmykach. Wreszcie nigdy niezapomniane wielkie łowy w sławnych na całą Polskę dziczych kniejach, gdzie padało na kilkudniowych polowaniach czasem i kilkadziesiąt dzików. Wiele kniej opolowałem w czasie tych dziesięciu zim, od ścianek dniestrowych, poprzez lasy Podola i bory północnej Małopolski, gdzie naprzykład w Poturzycy — zabiliśmy 44 dzików na trzydniowem polowaniu, po śliczne jodłowe lasy sławnej kniei Kamienia, barona Goetza Okocimskiego, gdzie razu pewnego w dwóch dniach padło 24 dzików. A potem karpackie i podkarpackie lasy z perłą tamtejszych kniei Rozchurczem, panów Barańskich, gdzie miewaliśmy na rozkładach w polowaniach przed nagonką niedźwiedzia, wilki i moc dzików, czem się chyba żadna prawie już dziś w Polsce knieja poszczycić nie może. A wreszcie nieprzebyte puszcze wschodnich Kresów od Wołynia począwszy, poprzez Polesie, skończywszy aż hen na północnych ostępach.

Gdy w pamięci przechodzę te niezapomniane przeżycia, to w tej chwili zdaje mi się, że widzę wszystkich towarzyszy łowów i tych, z których już niejeden nie żyje a przy których uczyłem się od najmłodszych lat zwyczajów i tradycyj myśliwskich i tych wszystkich, którzy jeszcze nieraz będą obok mnie na linji w czasie łowów stali, nadsłuchując i wypatrując, czy gdzieś nie wyłoni się sylwetka czarna, marzenie każdej duszy myśliwskiej.

To wszystko tylko skróty z przeżyć z moich polowań dziczych, to tylko tło, na którem obraz malowało dziesięć zim myśliwskich, pełnych niezapomnianych wydarzeń w dzienniku łowieckim zapisanych. Najwięcej jednej zimy zabiłem 19 dzików i życzyłbym sobie, by św. Hubert obdarzał mnie polowaniami i spotkaniami z dzikami w najbliższem dziesięcioleciu równemi z minionem.



WŁADYSŁAW BURZYŃSKI

Amunicja kulowa

Powyższym tematem zajmują się w ostatnim czasie dwa artykuły w „Łowcu Polskim" (Nry: 33 i 34 z 1932). Dowód to, że sprawa jest aktualna. Autorzy poważni, wyłuszczają tam swe zapatrywania w przedmiocie i podają typy ładunków, które uważają za najpotrzebniejsze.

Zdaje mi się, że aby sprawę ku realnym torom skierować, trzeba ją zbadać w dwu kierunkach. Najpierw wyrobić sobie zdanie na podstawie, może najlepiej, ogólnej ankiety, co do aktualnej opinji myśliwskiej, które ładunki są najpotrzebniejsze. Polska jest nietylko długa i szeroka, ale ma łowiska, a stąd i zwierzynę o najrozmaitszych typach — a więc myśliwy ma potrzebę najrozmaitszej kuli. Z drugiej strony jednak, na początek, aby ułatwić realizację własnej amunicji, nie jest wskazana zbytnia jej specjalizacja — bo im więcej gatunków i kalibrów — tem w przecięciu mniejsze danego typu zapotrzebowanie, tem mniejsze widoki na jego zbyt ma fabryka. Musimy pamiętać, że przy zapoczątkowaniu omawianej produkcji, fabryka ma znaczne wkłady na sprawienie odnośnych urządzeń, nowych sztanc, pras, materjałów etc., któreto inwestycje dopiero wolno, w miarę zbytu produkcji amortyzuje, a następnie dopiero może ciągnąć odpowiedni zysk.

Po ustaleniu kwestji typów najpotrzebniejszych ładunków, potrzeba sobie wyrobić zdanie w jakich ilościach te typy (lub im najwięcej zbliżone) są rocznie przez naszych myśliwych zużywane. Aby ustalić ilościowo (naturalnie tylko w grubem przybliżeniu) to roczne zapotrzebowanie w kraju, sądzę, że najwłaściwszą drogą byłoby zwrócenie się z odnośnem zapytaniem do wszystkich poważniejszych krajowych magazynów broni i amunicji myśliwskiej — a dopiero zesumowanie i przecięcie uzyskanych dat rocznej sprzedaży np. z ostatniego trzechlecia, oraz następne zaokrąglenie „in plus" sum

tych typów, których zapotrzebowanie rośnie, względnie, które się jednolici, na początek, dałoby nam — względnie fabryce, odnośne wskazania.

Mając w ten sposób przygotowaną sprawę, należałoby się odnieść przez życzliwe łowiectwu władze wojskowe do krajowych fabryk amunicji karabinowej, czy podjęłyby się wyrobu przedmiotowej amunicji kulowej myśliwskiej w ilości rocznej, jak wyżej wypośrodkowanej.

Naturalnie, przedewszystkiem dwa warunki powinnyby te fabryki z góry wziąć sobie za podstawę przy rozważaniu sprawy: 1) Produkcja musi być bezwarunkowo pierwszej klasy jakościowej, a więc na początek przynajmniej nie gorsza od znanych fabryk zagranicznych; 2) amunicja ta nie może być droższa, albo tylko bardzo minimalnie (dla amortyzacji wkładów początkowych)loco fabryka, jak obcokrajowa u swego źródła.

Dopiero gdyby nie udało się łowiectwu uzyskanie własnego krajowego wyrobu doborowej amunicji kulowej, trzeba bez dalszej zwłoki przystąpić do starań poruszonych w cytowanych na początku artykułach, o odpowiednie ułatwienia celne do sprowadzania zagranicznego towaru.

W tym kierunku na pierwszem miejscu stawiam światowego znaczenia fabrykę w Norymberdze: „Rheinisch-Mestfällische Sprengstoff - Actien - Gesellschaft. Nürnberg", dawniej znana pod firmą „H. Utendoerfer", — której produktów od przeszło trzech dziesiątek lat używam i z którą także bezpośrednio byłem w kontakcie, otrzymując od niej gotowość wyróbki żądanej przezemnie, a fabryce nawet nieznanej amunicji kulowej, o ile zagwarantuję odbiór pewnej jej ilości, naturalnie tylko pierwszorzędnej jakości.

Powyższe uwagi poddaję do rozpatrzenia z prośbą o przedłożenie Szanownemu Wydziałowi Centralnego Związku Stow. Łowieckich. W razie bowiem przychylnym, nie mam nikogo za tak powołanego do przeprowadzenia pertraktacyj odnośnych i spowodowania realizacji przedewszystkiem własnej amunicji kulowej myśliwskiej — jak naszą Centralę.

JAROSŁAW HUBÁLEK

„SZAREK"

autoryzowany przekład z czeskiego Władysława Karnkowskiego

(Ciąg dalszy)

Zupełnie inny świat! Rola wszędy zryta ludzką ręką i rośliny zupełnie inne, jak w lesie. Tam rośnie wszystko razem, w dzikiej, bujnej mieszaninie — tu każdy gatunek rośliny osobno, rzędami, odmierzenie. Tam naprzykład cały zagon zboża gęstego jak szczotka. Trzeba spróbować! Soczyste i smaczne! „Muszę tu częściej zachodzić" — pomyślał sobie Szarek i pokicał dalej. Tam znów rzędami sadzone ziemniaki „pod motyką" według miejscowego zwyczaju. Powąchał. Nie pachną mile! Kica więc dalej, a woń koniczynki dolatuje coraz wyraźniej. Dzielił go od niej wąski pas ugoru. Wyskoczył nań z ziemniaków, nie rozejrzawszy się wkoło. I nic dziwnego. Wszak to był jeszcze dzieciak, a Prawo poznać musi zwierz każdy z własnego, nie cudzego doświadczenia.

Na ugorze paśli dwaj chłopcy bydło. Siedzieli naprzeciw siebie, zajęci kręceniem wierzbowych fujarek. Obok siedział kudłaty, żółty pies, zapatrzony ciekawie w robotę chłopców. Nagle zobaczył na ugorze małego zajączka i puścił się za nim z głośnem szczekaniem. Chłopcy za psem i rozpoczął się okrutny wyścig. Szarek, widząc, że nie przelewki, rwał co sił ze słuchami przytulonemi do szyi. Z początku szło jako tako. Pierwsza odległość od psa wynosiła pięćdziesiąt kroków, a chłopcy zmęczeni, wrócili wkrótce do bydła.

Kudłaty „Lump" jednak nie dał za wygraną. Wciąż szczekając, gonił uparcie, to też odległość między nimi zaczęła się zwolna, ale stale zmniejszać. Na szczęście ugór się skończył i Szarek wpadł w fasolę. Tu szło psu ciężej — nie gonił już na oko, Szarek zyskiwał na czasie. Nie na długo jednak, bo Lump zmądrzał: co chwilę wyskakiwał wysoko, dostrzegał ruch fasoli i tam się rzucał na przełaj. Nim Szarek wpadł w kukurydzę, miał psa ledwie dziesięć kroków za sobą. Ale kukurydza stała zwartą ścianą i Szarek musiał biec prostą linją między dwoma gęstemi rzędami. Czuł biedak, że siły go opuszczają. Nie był jeszcze zaprawiony do długiego biegu. Serduszko biło jak młotem, nawet słuchy ciężyły. Pies był tuż, tuż. W ostatniej chwili Szarek zakluczył — wiedziony wrodzonym instynktem natury.

Kluczka się udała — pies ledwie nie wywrócił kozła. Dwie — trzy sekundy zysku i Szarek odsadził się na pięć metrów. Ale co to pomoże wobec stałego ubywania sił? Już ostatkiem gonił. W głowie huczało, wzrok mętniał, w oczach ciemniało. Jeszcze jedna kluczka, jeszcze iskierka nadziei.

Kukurydza kończyła się przy drodze. Szarek już przestał kombinować. Może już nie mógł, a może lęk śmierci, każdemu stworzeniu właściwy, gnał go po równej drodze, może wreszcie liczył na pomoc człowieka, tam opodal drogi stojącego...

Kto wie? Zdarza się jednak nieraz, że zwierzęta ścigane, w agonji strachu, chronią się między domowem bydłem, choć wiedzą, że tam i człowiek być musi. Niejeden też zając w miocie, mając ciszę i spokój przed sobą, cofa się na tył i plącze się nagance pod nogami.

Faktem jest, że gajowy Tomasz — wracając z obchodu, usłyszał cały pościg i zatrzymał się nad drogą. Przepuścił małego Szarka, natomiast cały nabój czwórek wpakował w bok Lumpowi.

O słuchy Szarka obił się nieznany dotąd huk strzału, zmieszany z przedśmiertnym skowytem prześladowcy. Nie zwracał na to uwagi, jeno umykał do zbawczego rodzinnego lasu. Na przyszłość miej się na baczności młodziku! Cuda nie dzieją się codzień!

Okwitły już zboża, kukurydzę i ziemniaki okopano po raz drugi. Na południowych skłonach żyta przechodziły w odcień zielonawo-szary, zapowiedź rychłego dojrzewania.

Z Szarka był już tęgi wyrostek. Dziś miałby z nim Lump, gdyby żył, trochę więcej roboty. Na szczęście

zwłoki jego leżą w bujnem życie, a pięknie ususzony jego nos, stanowi jedno ogniwo wianka pokrewnych mu nosów, nawleczonych na cienkim drucie. Z końcem kwartału będzie oddany leśniczemu, a potem dyrekcji do wyznaczenia strzałowego. C. d. n.

KAZIMIERZ WYSOCKI

Nowy kodeks karny — a łowiectwo

Dziennik ustaw Rzeczp. Polskiej z dnia 15 lipca 1932, Nr. 60, ogłasza rozp. Prezydenta Rzp. poz. 571 z dnia 11/VII. 1932, kodeks karny; poz. 572 z 11/VII., prawo o wykroczeniach i poz. 573 z 11/VII 1932, przepisy wprowadzające kodeks karny i przepisy o wykroczeniach.

Obowiązujący od dnia 1 września 1932 kodeks ten, zawiera dwa postanowienia, dla łowiectwa o wielkiem znaczeniu: Art. 270 tego kodeksu postanawia w § 1: „Kto narusza cudze prawo polowania lub rybołostwa, podlega karze aresztu do roku lub grzywny. § 2. Jeżeli sprawca działa zawodowo, podlega karze więzienia do lat 2".

Co należy uważać za naruszenie cudzego prawa polowania, wyjaśnia artykuł 2 rozporządzenia Prezydenta Rzp. z 3 grudnia 1927, Dz. u. p. Nr. 110, który opiewa:

„Przez polowanie, rozporządzenie niniejsze rozumie: przywłaszczenie zwierzyny oraz jej części użytecznych i płodów, tropienie, ściganie, łowienie zwierzyny i inne czynności podobne, zmierzające do jej przywłaszczenia".

Kto więc wykonuje powyższe czynności na obcym terenie łowieckim — bez pozwolenia posiadacza tego terenu (właściciela lub dzierżawcy) ten narusza cudze prawo polowania. Obecnie obowiązujący kodeks karny jest w porównaniu z dotychczasową ustawą, w sprawach łowieckich, bardziej surowy i bierze rzeczywiście łowiectwo w opiekę.

Mówię to przypuszczając, że postanowienia te nie zostaną martwą literą, lecz że wykonawcy tego prawa nie zapoznają intencji ustawodawcy, który uważając łowiectwo za jedną z bardzo ważnych gałęzi gospodarstwa społecznego, pragnie położyć skuteczną tamę wszelkim nadużyciom, niszczącym tę gospodarkę.

Rozporządzenie Prezydenta Rzp., również z dnia 11 lipca 1932, Dz. u. p. Nr. 60, poz. 573, zawiera przepisy wprowadzające kodeks karny i prawo o wykroczeniach. Artykuł 5 § 1 tego rozporządzenia wylicza ustawy i rozporządzenia tracące moc prawną z chwilą wejścia w życie kodeksu karnego (1 wrzesień 1932) a w § 2 ust. 4 tegoż rozporządzenia, wymienione jest rozporządzenie Prezydenta z dnia 3 grudnia 1927, Dz. u. p. Nr. 110 (prawo łowieckie) jako utrzymane w swej mocy w tych postanowieniach, do których nie ma zastosowania art. 270 kodeksu karnego.

Tak więc z obecnego prawa łowiekiego tracą moc obowiązującą art. 75 ust. 3, art. 76 ust. 3, bo wyrażone tam czyny podpadają pod postanowienia art. 270 kodeksu karnego.

Inne postanowienia Działu VI prawa łowieckiego są utrzymane w mocy, o ile wymienionych tam przekroczeń dopuści się posiadający prawo polowania na odnośnem łowisku. Jeżeli zaś przekroczenia dopuści się nie mający prawa polowania na obcym obwodzie łowieckim, to narusza on przez to samo cudze prawo łowieckie i staje się winnym zakazu wyrażonego w art. 270 kodeksu karnego.

Artykuł 271 kod. karnego, opiewający „Kto względem właściciela lasu, pola, **prawa polowania** lub rybołostwa albo osoby, tychże praw uprawnionej, dopuszcza się przemocy lub groźby karalnej w celu przeszkodzenia wykonaniu lub ochronie prawa, przytrzymaniu na gorącym uczynku naruszającego, albo odebraniu narzędzi przestępstwa, podlega karze więzienia lub aresztu do lat 5.

Przepis ten chroni dozorców polowania przeciw wszelkim gwałtownym postępkom kłusowników i wnykarzy. Dozorcy, którzy zawsze w czasie wypełniania służby powinni mieć przepisaną oznakę i legitymację, muszą, wykonując tę służbę, sprawować ją uczciwie, sprawiedliwie i z całym taktem — bo tylko w ten sposób podniosą znaczenie i powagę straży wobec ludzi i Władzy."

✝

Inż. Andrzej Strzemię Chwalibóg

ziemianin, przeżywszy lat 71, zmarł 30 września 1932 r. w Bolęcinie, pow. Chrzanowskiego

Z głębokim żalem przychodzi nam znowu zanotować smutny fakt śmierci w szeregu członków Oddziału krakowskiego Mał. Towarzystwa Łowieckiego. Z ubytkiem ś. p. Inż. Andrzeja Strzemię Chwaliboga, schodzi do grobu sędziwa postać myśliwska, powszechnie wśród braci łowieckiej ceniona i szanowana.

Zmarły był długoletnim członkiem Małop. Towarzystwa Łowieckiego i w ostatnich latach członkiem Wydziału Towarzystwa w Krakowie. Zamiłowany od najmłodszych lat myśliwy i hodowca, lgnął całem sercem do ziemi rodzinnej i przyrody, oddany przez ciąg ruchliwego życia gorliwej pracy nad podniesieniem rolnictwa i przemysłu rolnego.

Interesował się też żywo sprawami Małop. Towarzystwa Łow., występując niejednokrotnie z fachową aktualną inicjatywą. Punktualny, mimo oddalonej siedziby, w regularnem uczęszczaniu na posiedzenia Wydziału i ogólne zebrania członków, brał także chętny i czynny udział w naradach Oddziału nad sprawą nowelizacji prawa łowieckiego i przedłożył własny w tej materji rzeczowo opracowany elaborat.

Zasilał również łamy „Łowca" interesującemi, barwnie pisanemi artykułami z dziedziny myśliwskiej i kynologicznej.

Śmiertelne szczątki Zmarłego, przewiezione z majątku Bolęcin do Krakowa, spoczęły na cmentarzu rakowickim, odprowadzone w głębokim żalu z ostatniem pożegnaniem przez liczne grono przyjaciół i braci z pod znaku Św. Huberta.

Cześć pamięci światłego, niestrudzonego Towarzysza pracy — pokój duszy wiernego Przyjaciela i serdecznego Druha!

Z Wydziału Oddziału M. T. Ł. w Krakowie

„Polska amunicja w świetle cen"

Odpowiedź na artykuł p. inż. K. Chrzanowskiego

Zastrzegamy się zgóry, że pragniemy odpowiedzieć jedynie na te ustępy tego artykułu, które wyłącznie nas dotyczą, jako producentów prochu. Pomijamy natomiast inne, tyczące się bezpośrednio fabrykantów gotowej amunicji.

Cieszy nas bardzo zainteresowanie, z jakiem się spotykamy w odniesieniu do krajowej produkcji prochów, czego dowodem — zresztą nieodosobnionym — jest zabranie głosu przez p. inż. K. Chrzanowskiego. Musimy zaznaczyć, że zawsze z wdzięcznością przyjmujemy wszelkie uwagi, o ile są one słuszne, albo o ile pochodzą od tych, którym — jakkolwiek pracują oni na innych placówkach, może w równym zakresie, — zależy narówni z nami na należycie pojętym rozwoju przemysłu rodzimego.

Tylko więc w tem zrozumieniu i w tym duchu pragnęlibyśmy dać odpowiedź p. inż. K. Chrzanowskiemu. Miło nam, że odpowiedź ta może wypaść taką, jaką On sobie życzył, wyrażając w Swym artykule szczere i serdeczne życzenie, ażebyśmy mogli podanym przez Niego faktom zaprzeczyć.

Odpowiemy kolejno.

Każdy gatunek prochu zostaje poddany przez nas ścisłym badaniom. Taksamo każda wyprodukowana partja danego prochu, zanim zostanie oddana do sprzedaży, jest bardzo skrupulatnie badana na naszej stacji doświadczalnej, jak również na własnej strzelnicy i to przez specjalną komisję, niezależną od tego Wydziału, który proch wyprodukował. — Fabryka nasza rozporządza wszystkiemi znanemi aparatami do tego rodzaju pomiarów; aparatury naszej nie powstydziłoby się żadne laboratorjum, ani stacja badawcza zagraniczna.

Nie dosyć na tem. Nie ograniczamy się do badań tylko samego prochu, ale badamy również wszystkie elementy amunicji, a więc spłonki, łuski, przybitki, śrut itd. Ponadto dla celów badawczych posiadamy oprócz własnych prochów, całą kolekcję rozmaitych prochów zagranicznych, europejskich i amerykańskich. Jednem słowem opierając się na najnowszych wymogach i ostatnich zdobyczach techniki, nie poprzestajemy na tem, co już osiągnęliśmy, ale staramy się zawsze iść naprzód i ulepszać nasze prochy pod względem jakościowym. Staramy się również, przez zastosowanie najnowszych metod fabrykacji obniżać ceny naszych produktów, czego dowodem jest wprowadzenie przez nas w b. r. na rynek krajowy — cieszącego się już wielkiem powodzeniem — bezdymnego prochu myśliwskiego „Kuropatwa", którego cena dla konsumenta wynosi zaledwie zł. 2,50 za 100 g, podczas gdy cena prochu „Sokół", mimo wielkich kosztów produkcji, jest taka sama, jak w roku ubiegłym, t. zn. zł. 3,20 za 100 g.

Mimo tak wysoko postawionej stacji badawczej i strzelnicy i mimo ciągłych badań przeprowadzanych przez naszych fachowców mających już prawie 10-cio letnią praktykę w naszych zakładach i znających praktycznie nietylko metody europejskie, ale także amerykańskie — przesyłamy co pewien czas nasze prochy do zbadania i do wydania opinji do światowej sławy stacji doświadczalnej w Liège (Banque des Epreuves). Wydane przez tę stację urzędowe zaświadczenia, będące w naszem posiadaniu wykazują zupełną zgodność z wynikami naszych badań. Ponadto jedna z firm krajowych przesłała do zbadania — bez naszej wiedzy — nasze prochy „Sokół", „Królewski" i „Kruk" do jednej ze stacyj badawczych niemieckich i otrzymała odpowiedź, że proch naszej fabrykacji wprowadził ich w zdumienie swoją wysoką jakością. Podobne orzeczenia otrzymały i inne firmy.

Takie same opinje otrzymujemy i z innych źródeł. — Godność króla kurkowego została zdobyta na tegorocznym Kongresie Zjednoczonych Bractw Kurkowych nabojami ładowanemi naszym prochem „Królewski". — Taksamo wicemistrzostwo i wiele innych nagród. Strzelając naszym prochem osiągano na 80 możliwych pierścieni, 77 pierścieni na odległość 175 m. Ten wynik jest nieodosobniony, gdyż inni zawodnicy mogli się poszczycić 76, względnie 72 pierścieniami.

W tych warunkach nie musimy chyba specjalnie podkreślać, że rozsyłanie przez nas próbek do niektórych firm ma zupełnie co innego na celu, mianowicie względy handlowe. Chodzi jedynie o to, by zapoznać zainteresowanych z naszemi wyrobami, co zresztą w tej formie jest wszędzie praktykowane.

Cieszylibyśmy się bardzo, gdyby p. inż. K. Chrzanowski zawitał do nas i naocznie przekonał się o tem, co tu tylko pokrótce możemy opisać. Cieszyłoby to nas tem więcej, że zawsze bardzo cenimy współpracę i jesteśmy za nią wdzięczni, uważając ją za najlepszy środek do osiągnięcia wspólnego celu.

Państwowa Wytwórnia Prochu
Pionki - Zagożdzion

Kącik humorystyczny

Sposób zabezpieczenia się od śrutów sąsiada.
(Autentyczne).

Na polowanie kniejowe w miejscowości M., wyrusza i starszy syn gospodarza, młodzieniec pod wąsem, ale nieco ciężki na umyśle, wskutek czego myśliwi niechętnie widzieli go, jako sąsiada, na stanowisku.

Po jednym z miotów pyta się go ojciec: „Cóż Józiu, nie strzelałeś, nie wyszło nic na ciebie?"

„Wyszedł na mnie lis", — odpowiada Józio, — „nie strzelałem, później rogacz, nie strzelałem, a przy końcu dwa zające, też nie strzelałem".

?

„Bo proszę papy, moi sąsiedzi p. D. i p. K. zapowiedzieli mi, że jeżeli strzelę do czego w tym miocie, to bez względu, czy trafię, czy chybię, zmielą mi mordę na małygę".

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32